

Z listu JERZEGO SZCZĘSNEGO do organizatora Sesji z okazji 90. rocznicy urodzin Iji Lazari-Pawłowskiej

[...] Mój kontakt z Panią Profesor, jak również z Jej małżonkiem, prof. Tadeuszem Pawłowskim, trwał praktycznie podczas całych moich studiów, jako że miałem zaszczyt uczestniczyć z obojgiem Profesorstwa w seminarium z teorii państwa i prawa u prof. Jerzego Wróblewskiego w latach 1963-68.

Profesor Ija trwa w mojej pamięci jako nieczęsty w tamtym czasie przykład uczoney niepoddającej się ówczesnemu marksistowskiemu bełkotowi, jako postać o niezwyklej delikatności i ciepłe oraz osoba, która jasną skalę wartości potwierdzała swą odwagą cywilną. Nigdy nie zapomnę, jak na sabacie czarownic zorganizowanym na UŁ, by dać odpór warszawskiemu wystąpieniu prof. Leszka Kołakowskiego w dziesięciolecie Października 56, zabrałem głos z trybuny i jedyną osobą, która demonstracyjnie do mnie podeszła, była właśnie Ona. Nie mnie oceniać Jej dorobek jako uczoney, ale – mam wrażenie – wpływ Pani Profesor Iji na tych Jej uczniów, którzy w totalitarnych czasach nie rezygnowali z przyrodzonego prawa oporu przeciw uciskowi, owocował dużo później w zmaganiach o prawdę bez użycia przemocy. [...]

Jerzy Szczęsny

PIOTR K. STENGERT

Pani Profesor Ija Lazarii-Pawłowska pozostaje w moich wspomnieniach jako swoista ikona w przekazie myśli humanistycznej, wartości uniwersalnych, z przeszłości do teraźniejszości. Uczennica wielu znakomych nauczycieli, profesorów Marii i Stanisława Ossowskich, Romana Ingardena, Władysława Tatarkiewicza czy Tadeusza Kotarbińskiego, była przykładem nauczyciela-mistrza rozbudzającego etyczną wrażliwość pośród swoich uczniów za sprawą poruszania najgłębszych dylematów etycznych. Osiągała to różnymi metodami dydaktycznymi, m.in. poprzez przytaczane biografie i dokonania nieprzeciętnych postaci (np. Mahatmy Gandhiego, Alberta Schweitzera). Jej wykłady, postawa wraz z pogodną fizjonomią tworzyły swoistą całość, spójność i harmonię, bardzo odróżniającą się w środowisku akademickim ówczesnych osobowości. Słuchała nas z empatią. Była wyjątkowo wrażliwą osobą,

o niebywalej kulturze osobistej, skromnym człowiekiem, ujmującym przez swoją płeć i podejmowane dylematy. Zarazem jednak na każdym kroku odbieraliśmy Panią Profesor jako osobę pełną energii w dążeniu do pokonywania przeszkód i problemów w obronie czci dla życia, i jako osobę pełną życzliwości.

Panią Profesor Iję Lazari-Pawłowską poznałem 25 lat temu podczas studiowania filozofii na Uniwersytecie Łódzkim. Pracowałem wówczas jako lekarz w Klinice Ostrych Zatruc Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi, gdzie zajmowaliśmy się między innymi przywracaniem do życia i zdrowia pacjentów w stanie śpiączki, najczęściej po samobójczych próbach zatrucia. Na jednym z seminariów z etyki zwróciłem się z zapytaniem, czy mógłbym napisać pod Jej kierunkiem pracę magisterską. Pani Profesor przyjrzała mi się uważnie, z charakterystycznym, delikatnym, przyjaznym uśmiechem, a po wysłuchaniu, czego praca miałaby dotyczyć, zaproponowała następne spotkanie w swoim mieszkaniu na Wierzbowej. W profesorskim domu wypełnionym po sufit książkami, w ciepłej atmosferze, rozmowy wokół pracy magisterskiej na temat etycznych aspektów samobójstwa nierzadko schodziły na zagadnienia związane z etyką zawodową. Pani Profesor z uwagą przysłuchiwała się problemom związanym z pracą lekarzy i pielęgniarek, która niejednokrotnie przypomina walkę o zdrowie czy życie chorych, słuchała o losie przegranych w tej batalii, relacjach powstających między chorym i lekarzem oraz między lekarzami, napięciach w samej instytucji, jaką jest szpital. Kiedy wypowiadała swoje odczucia czy opinie, koncentrowały się one zazwyczaj wokół sumienia, według którego należy postępować, co było zgodne i z moim punktem widzenia, i tym, czego oczekiwałem od niej. Byłem prawdopodobnie jednym z ostatnich Jej magistrantów. Dziesięć lat później, kiedy rozpocząłem pracę z nieuleczalnie chorymi dziećmi, szczególną grupą wykluczonych, humanistyczne idee, które propagowała Pani Profesor, stały się źródłem systemu etycznego, w oparciu o który budowałem hospicjum, tj. szacunku dla życia, szacunku dla chorego i jego najbliższych, czynienia dobra, nieczynienia zła, akceptacji nieuchronności śmierci i sprawiedliwego podziału dostępnych środków. Za to, przy tej okazji, bardzo Jej dziękuję.

ANDRZEJ ZALEWSKI

Trzy wspomnienia o Profesor Pawłowskiej

Tę garść wspomnień spisanych poniżej traktuję jako częściową przynajmniej spłatę długu wdzięczności, który mam wobec Pani Profesor Iji Lazari-Pawłowskiej. Gdyby nie jej wydatna pomoc i wsparcie w kluczowym okresie mojego życia, nie byłoby mnie dzisiaj – co mówię z pełnym przekonaniem – w tzw. naukowym światku, a moje życie potoczyłoby się inaczej. Jak? – Tego nie wiem. Z pewnością wartość paru wspominków jest niewspółmiernie mała wobec wartości dobra, jakiego

doświadczyłem ze strony Pani Profesor, ale to jedyna forma spłaty długu, jaka przychodzi mi w tym momencie do głowy.

Pierwsze wspomnienie

W latach 70. brałem udział, jako student filozofii UŁ, w zajęciach Pani Profesor z etyki. Nie pamiętam już dokładnie, czy były to konwersatoria czy seminaria, i jak układały się między nimi proporcje, zresztą nie ma to znaczenia. Duch na zajęciach panował wolnomyślicielski, skłaniający nas do zajmowania postawy opozycyjnej względem panującego ustroju – często np. padało nazwisko Leszka Kołakowskiego, wtedy przecież wyklętego przez władze, a znanego Pani Profesor osobiście. Ta opozycyjność nigdy jednak nie pojawiała się zamiast tematyki ściśle merytorycznej, a tylko i wyłącznie przy jej okazji. Po prostu Pani Profesor stwarzała taką przestrzeń wolności, że na jej zajęciach nie istniały tematy tabu; można było udzielić każdej odpowiedzi na stawiane pytanie i przyjąć dowolny punkt widzenia, byle tylko, oczywiście, móc ten punkt widzenia i tę odpowiedź w miarę sensownie wypowiedzieć. Dawały więc nam te zajęcia pełne poczucie bezpieczeństwa, co przy problematyce ocierającej się siłą rzeczy o jakieś światopoglądowe uwikłania miało ogromne znaczenie. Przychodziły zresztą na nie i osoby z zewnątrz, niekoniecznie tylko studenci filozofii. Dla nas, którzy mogliśmy mówić, co kto chciał i co komu przyszło na myśl, była to sytuacja komfortowa, dla Pani Profesor, która na to pozwalała, a nawet zachęcała do takiego udziału, chyba znacznie mniej. Choć o kłopotach, jakie miała z tego powodu, mówiła rzadko, niechętnie i raczej półsłówkami.

Wolność, którą Profesor Pawłowska przyznawała swoim słuchaczom, przenosiła się też na inne sfery. Wiem coś o tym, bo będąc promotorem mojej pracy magisterskiej o fenomenologicznych podstawach godności – pierwszego filozoficznego tekstu, jaki napisałem w życiu – dała mi całkowicie wolną rękę. Widząc, że praca nad rozprawą jakoś tam posuwa się do przodu, nie ingerowała, choć wobec innych potrafiła być bardziej drobiazgowa. Potem wyrzucała mi tylko, że nie zrobiłem z tekstu tej rozprawy żadnego artykułu ani noty i jeśli nawet nie przepadła ona gdzieś ze szczętem, spoczywa dziś przykryta stupudową warstwą kurzu w jakimś archiwum Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. Zresztą może i lepiej, bo gdyby dane mi było odświeżyć sobie pamięć o niej, zapewne wstydzilibym się po latach swojej ówczesnej naiwności.

Drugie wspomnienie

W 1991 roku obserwowałem z widowni uroczystość jubileuszu siedemdziesiątych urodzin Profesor Lazari-Pawłowskiej. Przybyli na nią przedstawiciele władz rektorskich i dziekańskich łódzkiej uczelni, zjechali zaproszeni goście, przemówienia sypały się jak z rogu obfitości, wszystkie pełne szacunku i uznania, choć – co jest chyba nieodłączne od takich okazji – naznaczone też pewną dozą oficjalnej sztywności. Wreszcie głos zabrała Pani Profesor. W odróżnieniu od tamtych, niekiedy

bombastycznych wystąpień, mówiła lekko i bezpretensjonalnie, ale powiedziała w trakcie tego jedno zdanie, które zapamiętam na zawsze: „Proszę Państwa, ja przecież nie jestem żadnym wielkim naukowcem”. Powiedziała to uczennica Marii Ossowskiej, osoba będąca autorytetem dla wszystkich, którzy tego dnia zgromadzili się w auli Uniwersytetu Łódzkiego: „Proszę Państwa, ja przecież nie jestem żadnym wielkim naukowcem”. Rzuciła te słowa mimochodem, bez niepotrzebnej kokieterii, nieco żartobliwie, żeby nie zbulwersować przybyłych gości, ale widać było, że może rada, by wyrwać się z obręczy urzędowych pochwał i powrócić do świata bardziej spontanicznych ludzkich reakcji.

Nie jest to jedyny zapamiętany przeze mnie przypadek, gdy Pani Profesor potrafiła okazać krytyczny dystans w stosunku do siebie samej. Pamiętam, jak na zajęciach przyznała, że nie jest zadowolona z redakcji zbiorowego tomu *Metaetyka*, który się jakiś czas temu ukazał, zresztą i tak wówczas na naszym gruncie pionierskiego. Wkład pracy autorów wypowiadających się w tym tomie, a także jakość ich wypowiedzi potrafiła docenić, ale rezultatów swojej pracy redakcyjnej nad nim – już nie.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do jubileuszu 70-lecia, bo w jego trakcie Pani Profesor złożyła też podziękowania pracownikom i współpracownikom, wśród których się obracała, i nawet pamiętam, jakimi słowami to zrobiła: „Swoim współpracownikom dziękuję za to, że mogę się wśród nich czuć bezpiecznie”. Zwracam uwagę: nie podziękowała np. za wysoką jakość merytoryczną prac (której potrzeba dla jej współpracowników była zresztą oczywista) czy szlachetne współzawodnictwo, ale za poczucie bezpieczeństwa. Tym samym dowiodła, że wie, jakie rzeczy w przebywaniu ludzi ze sobą są najważniejsze. Gdyby dziś żyła, z tym naciskiem na potrzebę bezpieczeństwa w międzyludzkich kontaktach byłaby postacią z zupełnie innej bajki, tak jak – obawiam się – była nią już w tamtych czasach.

Trzecie wspomnienie

Jakoś niedługo po jubileuszowej uroczystości wybrałem się do mieszkania Pani Profesor, żeby ją osobiście zaprosić na konferencję naukową, którą organizowaliśmy w Częstochowie. Już od pierwszych chwil rozmowy słychać było zza drzwi chrobotanie i skomlenie psa, najwidoczniej bardzo niezadowolonego z faktu odseparowania go od rozmówców. „Ona cierpi” – powiedziała Profesor o swojej pupilce, jak się okazało, tak zaprzyjaźnionej z rodzajem ludzkim, że przeżywającej katusze, gdy nie było jej dane osobiście przywitać się z gościem. Wreszcie, gdy oznaki psiego dyskomfortu stały się zbyt natarczywe i nie dało się spokojnie rozmawiać, Pani Profesor wstała i otworzyła drzwi do pokoju. Wtedy wystrzeliła ku mnie najelektryzowana kula psiej radości, wskoczyła mi na kolana i zaczęła mnie lizać po twarzy z takim impetem, jakby chciała mnie zlizać do cna. Po kilku minutach tych czułości psiak został jednak zabrany, ale był już spokojny, bo zrobił, co do niego należało. W warstwie zdarzeniowej ta historyjka z sympatycznym czworonogiem

może wydawać się zaskakująca z dość oczywistego powodu. Wiemy dobrze, jak potrafią zachowywać się psy, gdy obca osoba przekroczy próg „ich” domu. Dlatego nie mam wątpliwości, że ten pies wychowywany był w jakimś specjalnym reżimie życzliwości wobec nowo przybyłych, a może po prostu udzieliła mu się częśćka tej życzliwości, jaką osoba Profesor Pawłowskiej emanowała na co dzień w sposób naturalny.

Ale powyższy epizod ma też głębszy sens, który w żargonie akademickim nazywa się jednością teorii i praktyki. W końcówce lat 70. przeszedłem przez cykl zajęć Pani Profesor na temat praw zwierząt. Była to dla nas wtedy egzotyka, bo chyba nikt więcej z polskich etyków nie zajmował się jeszcze tą problematyką, ja przynajmniej o nikim takim nie słyszałem. Jakkolwiek jednak byłaby ona niezwykła, wiadomo było, że na zajęciach nie chodziło tylko o znalezienie rozwiązania dla pewnego frapującego problemu teoretycznego. Wszyscy wiedzieli, że Pani Profesor obca była taka postawa budowania teorii dla samej teorii – jeśli przez to rozumieć odcięcie czysto intelektualnej refleksji od całości prywatnego życia badacza. Wszelkie tematy pochłaniające Profesor Pawłowską, czy była to kara śmierci, etyka Gandhiego czy właśnie kwestia praw zwierząt, poświadczała głęboko osobistym, emocjonalnym zaangażowaniem w ich realizację, przekładała – jak tego dowodzi ów przykład z psem – na jednoznaczne postawy praktyczne wynikające z wyborów w sferze teoretycznej. Można też przeprowadzić odwrotne rozumowanie, kto wie, czy nie prawdziwsze: pasje teoretyczne Pani Profesor były bardzo już przetworzonym efektem jej zwykłej dobroci serca, której promieniowanie musiał odczuć każdy, kto choćby przelotnie zetknął się z jej osobą. Czasem myślę nawet, że etyka dlatego właśnie stała się główną dziedziną działalności akademickiej Pani Profesor, że tu integracja pierwiastka teoretycznego i praktycznego zachodzić może w sposób naturalny, a każdy uczony sofizmat i teoremat jest, a przynajmniej może być, co najwyżej środkiem w doskonaleniu własnego człowieczeństwa, bardziej niż w innych naukach. Dlatego tak trudno wyobrazić sobie Panią Profesor jako „czystego” filozofa; była przecież żywym ucieleśnieniem zasad etycznych, takim, można powiedzieć, człowiekiem-etyką.

Profesor Pawłowska przyjęła zaproszenie i konferencja w Częstochowie odbyła się z jej udziałem. Później, po jej śmierci, przypomniałem sobie wyraźne oznaki zmęczenia, jakie podówczas zdradzała i połączyłem to z jej chorobą, najwidoczniej dającą już w ten sposób znać o sobie. Ale wtedy nic jeszcze o niej nie wiedziałem.

*

Moje prywatne kontakty z Profesor Pawłowską nigdy nie były zbyt częste. Chyba mnie lubiła i okazywała to, ilekroć się spotykaliśmy, ale Pani Profesor lubiła wszystkich! Nie miałem natomiast zaszczytu należeć do grona jej bliskich współpracowników ani też, tym bardziej, zaliczać się do kręgu osób z nią zaprzyjaźnionych. Wkraczamy

tu jednak w materię spraw nader delikatnych, w których kryteria ilościowe nie mają znaczenia. Czasami jedno krótkie spotkanie z kimś potrafi zmienić całe życie. Dlatego mogę o sobie powiedzieć, że te nieczęste kontakty z Profesor Pawłowską ukształtowały mnie w stopniu znaczącym. Bez nich nie tylko moje życie toczyłoby się inaczej, ale też ja sam byłbym pewnie kimś innym niż jestem.

BRONISŁAWA KOPCZYŃSKA-JAWORSKA

Chciałam powiedzieć, że niestety byłam za stara, żeby chodzić na zajęcia Pani Profesor. Pamiętam Ją jako koleżankę na radach wydziału, na jakichs zebraniach uniwersyteckich. Czasem spotykałyśmy się w plenerze w czasie naszych wakacji w Zakopanem czy gdzie indziej. Była to osoba niezwykle urocza, która umiała nawiązać kontakt właściwie z każdym. Poza tym, że miała bardzo piękne oczy, cechowała Ją zawsze taka koncentracja spojrzenia i takie oczekiwanie, co też Ona ciekawego od danej osoby usłyszy. To było niezwykle sympatyczne.

Chciałam tu też przypomnieć, że żyliśmy w dość burzliwych czasach, nie zawsze przyjemnych. W tej gromadzie profesorów Pani Profesor nie robiła wrażenia buntownika czy przywódcy, była raczej dość spokojna i cicha, rzadko zabierała głos, ale chciałabym tu przypomnieć jej niezwykle rolę, jaką odegrała na radzie Wydziału Historycznego, na której wtedy wspólnie byliśmy. Otóż w niesławnych latach 60. nastąpił taki moment, że zapanowały jawne dyskusje personalne na radzie wydziału i osoby zainteresowane czy będące obiektem tych rozpraw były obecne; nawet nie pozwalano im wyjść z sali w tym momencie, kiedy na ich temat toczyła się dyskusja. Jak dalece było to nieprzyjemne, i poza tym miało określone skutki, bo ludzie mówili rzeczy, których nie myśleli, ze względu na to, że się bali - wiem z własnego doświadczenia - potrafili potem przyjść do danej osoby i usprawiedliwiać się w cztery oczy, że „pani rozumie, ja musiałem” czy „ja musiałam” - było to bardzo nieprzyjemne. Otóż Pani Pawłowska zrobiła rzecz nadzwyczajną, mianowicie były to już chyba lata 70., więc minął pierwszy okres takiej dzikiej walki, który panował przez pewien czas, i była sprawa personalna, nie pamiętam nazwiska, jakiegoś młodego kolegi z Instytutu Historii, jakiś awans na stanowisko, dajmy na to, starszego asystenta, rzecz, nie powinnam może mówić: błaha, zapewne dla niego istotna, ale dla wydziału niespecjalnie ważna, sprawa nie budziła żadnych wątpliwości co do jej zasadności. I w tym momencie Pani Profesor Pawłowska poprosiła o głos i powiedziała: „Proszę Państwa, ja bym zaproponowała może, żebyśmy sprawy personalne załatwiali pisemnie i tajnie, a nie otwarcie”. To był koniec rady wydziału, wszyscy byli bardzo zmęczeni, wobec tego powiedzieli: „Dobrze, dobrze, tak, tak, kto ma kartki, kto ma papier, pani sekretarz nam pozwoli” i tak dalej. Był to moment szalenie ważny dla życia uniwersyteckiego, bo w tym momencie zahamowało się to potworne bezhołowie, które panowało przedtem, no i te tortury, jakie szeregi osób

musiały ciągle publicznie znosić na tych zebraniach. Trzeba więc powiedzieć, że miała również zmysł polityczny, bo specjalnie nikomu się nie narażała.

Ja również miałam okazję i przypuszczam, że niektórzy z młodszych kolegów także, mianowicie pod koniec tak zwanego „minionego okresu” był taki moment, kiedy nie pamiętam, który z panów rektorów zorganizował publiczne wykłady dla pracowników nauki na różne kształcące tematy; chyba to się nawet odbywało w lokalu filozofii, na zapleczu biblioteki uniwersyteckiej. Pani Pawłowska miała tam odczyt na temat tolerancji i to było rzeczywiście olśnienie, zarówno forma tego odczytu, jego jasność, jego prostota intencji wszelakich – to był rzeczywiście ewenement jak na te czasy i ten wykład odegrał na pewno bardzo ważną rolę w narastającym oporze psychicznym, jaki wówczas nastąpił i już niedługo potem zademonstrował się ogromnymi zmianami.

No, ale były również i momenty trudne, bo – miałam okazję potem o tym z Nią rozmawiać – miała odczyt o tolerancji na seminarium organizowanym przez naszego pana rektora Seweryńskiego, związanego ze środowiskiem katolickim, i Pani Profesor miała wyraźną tremę; została poproszona o wykład na temat pojęcia tolerancji. Były tam „posiłki” pozałódzkie, katolickie, między innymi przybył na to seminarium ksiądz Salij, po to, żeby ewentualnie dać odpór jakimś częściom tego referatu, ale możemy wnioskować, chociażby z tego, cośmy usłyszeli przed chwilą, że sprawa była podana w takiej formie, że nie naruszała niczych uczuć i emocji.

Tak pamiętam Panią Profesor ze spotkań na forum publicznym – trzech, które może najbardziej utkwiły mi w pamięci. Naturalnie miałam okazję spotykać Ją częściej, bo mieszkała niedaleko mnie, ale to już były takie spotkania czysto kobiece, prywatne, więc może ich wspomnianie nie jest tu na miejscu. Dziękuję bardzo.

ALDONA POBOJEWSKA

Dwa epizody z lat 70. i 80.

Chcę przypomnieć o kwestii, która nie została poruszona przez moich przedmówców, a nie jest bez znaczenia dla nakreślenia obrazu osoby Pani Profesor Pawłowskiej. Otóż była Ona jednym z nielicznych na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, a jedynym na kierunku Filozofia, samodzielnym pracownikiem naukowym, który wstąpił do NSZZ „Solidarność” w fazie organizowania się tego związku. Traktowała tę przynależność poważnie, przychodziła na wszystkie zebrania naszego kierunkowego koła i brała w nich czynny udział. Przypominam sobie, jak tłumaczyła nam sprawę pana Włodzimierza Gromca, usuniętego z Katedry Filozofii w 1977 roku wskutek nacisków UB. Mówiła, że wtedy, w wyniku między innymi Jej ingerencji, nie zostało umieszczone w papierach p. Gromca, iż jego relegacja z uczelni miała charakter polityczny. Podanie takiej przyczyny zwolnienia, zgodnej zresztą

ze stanem faktycznym, pełniłoby w tamtych czasach rolę tzw. „wilczego biletu”, który uniemożliwiałby danej osobie zatrudnienie się gdziekolwiek indziej. Jednak w sytuacji zaistniałej po wrześniu 1980 roku należało uczynić sprawę jednoznaczną i Pani Profesor składała przytoczone powyżej wyjaśnienie (w efekcie starań NSZZ „Solidarność” UŁ Włodzimierz Gromiec został przywrócony do pracy na uczelni w marcu 1981 roku).

Z innych wspomnień przytoczę jedno świadczące o tym, że Pani Profesor nie ograniczała swojego zainteresowania studentami do kwestii merytorycznych, lecz troszczyła się o ich sprawy wybiegające poza ten obszar. Jeszcze jako studentka filozofii, a zarazem początkująca asystentka na tym kierunku (miałam bowiem magisterium z innej dziedziny), zaczęłam uczęszczać na seminarium z etyki. Z powodu złamanej nogi Pani Profesor prowadziła je w swoim mieszkaniu. Ponieważ roczniki studentów filozofii były wówczas nieliczne, to zdarzało się, że uczestniczyłam w tych zajęciach sama. Kiedyś w takiej sytuacji Profesor Pawłowska zainteresowała się moją dalszą drogą życiową i zapytała wprost: „Czy zdecydowała się pani uprawiać w przyszłości zawód pracownika naukowego?”. Odpowiedziałam, że tak, byłam jednak zdziwiona samym pytaniem i nieświadoma jego kontekstu. „To proszę wziąć pod uwagę – kontynuowała Pani Profesor – że jest to bardzo trudny zawód, szczególnie dla kobiety”. Wtedy nie rozwijałyśmy tego tematu, ale zaistniał on zarówno dla mnie, jak i w moich relacjach z Panią Profesor, bo po pewnym czasie wróciła do niego, wskazując na inną stronę naszej profesji. Przytoczyła wtenczas z aprobatą wypowiedź prof. Marii Ossowskiej, że uprawianie zawodu pracownika naukowego jest przyjemnością, „a jeszcze za to płacą”.

Wart podkreślenia jest również sposób prowadzenia seminarium przez Profesor Pawłowską. Zabierali na nim głos przede wszystkim studenci, i to oni dyskutowali ze sobą. Pani Profesor rzadko interweniowała i nie wygłaszała żadnych kategorycznych ocen, również w sytuacjach, kiedy ewidentnie nie zgadzała się z prezentowanym przez kogoś stanowiskiem. Pytała wtedy: „A czy jest pan/pani tego pewien/pewna?”, „Czy wierzy pan/pani w to?”. Po latach zrozumiałam dydaktyczną i wychowawczą moc takiego podejścia. O ile kategoryczność stwierdzeń prowadzącego często osłabia zawarty w nich przekaz, to pytanie stanowi dla zagadniętego otwarte zadanie, które prowokuje do zastanawiania się nad daną kwestią, uwypukla jej problematyczność.

Kontakt z Panią Profesor Pawłowską dawał do myślenia o wielu sprawach związanych nie tylko z filozofią.

J O A N N A J A B Ł K O W S K A

Bardzo dziękuję za zaproszenie do tej dyskusji czy raczej do wspomnień o Pani Profesor Iji Lazari-Pawłowskiej.

Nie studiowałam filozofii, uczęszczałam natomiast na niektóre wybrane wykłady. Dość wcześnie, wydaje mi się, że to było na drugim roku, trafiłam na wykład Pani Profesor, który odbywał się w gmachu Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego i przeznaczony był chyba dla socjologów. Od tego czasu byłam wierna zajęciom Pani Profesor. Potrafiła mówić w taki sposób o kwestiach wydających się banalnymi, że stawały się ważne czy też niezwykle. Do opisu atmosfery na jej seminariach i wykładach można posłużyć się pojęciem Benjaminowskiej „aury”. Była to atmosfera niepowtarzalna i wyjątkowa.

Wspomniany wykład, na który trafiłam po raz pierwszy, poświęcony był m.in. Schweitzerowi i jego *reverence for life*, czyli szacunkowi czy też czci dla życia. Pani Profesor opowiadała o tym, jak Schweitzer starał się nie nadepnąć żadnej mrówki ani żadnego pajęczka. Jako młodej studentce wydawało mi się to nieco śmieszne, ale w ustach Pani Profesor, która w autentyczny sposób przeżywała postawę Schweitzera, uszanowanie każdego, nawet najbardziej prymitywnego życia istniejącego w naturze, było niezwykle. Pani Profesor była przekonana o tym, że tak właśnie powinniśmy podchodzić do otaczającej nas przyrody: z czcią. Nie była to postawa religijna, lecz potrzeba otoczenia opieką moralną każdej istoty, nawet owada.

Gdy byłam już asystentką, postanowiłam napisać pracę doktorską poświęconą idei tolerancji w twórczości szwajcarskiego pisarza Maxa Frischa. Gdyby dziś przyszedł do mnie student czy doktorant z takim pomysłem, to bym mu ten temat odradziła, ponieważ zdawałabym sobie, jako literaturoznawca, sprawę z problemów metodologicznych związanych z tego typu problematyką. Wówczas jednak opieka nad młodymi adeptami nauki na filologii germańskiej daleka był od starannej; nie znalazłam wtedy pomocy wśród moich profesorów i sformułowałam swój temat samodzielnie, nie zdając sobie sprawy z trudności, jakie napotkam. Zwróciłam się do Pani Profesor z prośbą o pomoc. Muszę podkreślić, że Ija Lazari-Pawłowska była jedynym „prawdziwym” profesorem, z jakim się wtedy zetknęłam, profesorem, który rozumiał swą misję jako obowiązek wobec nauki i wobec młodych ludzi, mających ambicję pracować naukowo. Zawdzięczam jej, że mój doktorat powstał i jakoś udało mi się w nim związać ze sobą problematykę etyczną z analizą literaturoznawczą. Pomagała mi w sposób niezwykle. Nie zgadzała się z moim instynktownym, bardzo dyletanckim – jak to obecnie widzę – rozumieniem tolerancji. Interpretowałam tolerancję jako rezultat relatywizmu etycznego, z czym Pani Profesor oczywiście się nie zgadzała. Nigdy nie próbowała mnie jednak przekonać ani do swoich przemyśleń, ani o wyższości swego stanowiska naukowego nad moim. Nie dawała do zrozumienia, że nie jestem dostatecznie przygotowana, by podejmować z nią dyskusję o problemach, którymi zajmowała się od wielu lat. „Podrzucała” mi natomiast książki, które mogłyby stać się dla mnie przydatne.

Wiele się dowiedziałam o problemach, o których powinnam się była uczyć na studiach. Nasz program nie obejmował jednak zagadnień związanych ze współczesną filozofią niemiecką, z etyką czy z niemieckim dyskursem rozliczeniowym.

Od Pani Profesor dowiedziałam się, kim byli Weber, Jaspers, Popper, Adorno. Dowiedziałam się o istnieniu Marion Gräfin Dönhoff. Podsuwała mi dyskretnie książki, które powinnam była znać.

Gdy mówię czasem swoim studentom, żeby mnie posłuchali, ponieważ wiem coś lepiej od nich, przypominam sobie Panią Profesor Pawłowską, która stosowała inną metodę dydaktyczną. Nie próbowała przekonywać, lecz polecała książki, dyskutowała, sprzeczała się. Nie odrzucała jednak stanowiska ucznia, nie dawała do zrozumienia, że młody pracownik mówi coś niemądrego. Traktowała go jako równouprawnionego partnera, i co więcej, chyba sama wierzyła w to, że nim faktycznie był. Teraz zdaję sobie z tego sprawę, że mówiłam wiele rzeczy niemądrych, ale Pani Profesor mi tego nie powiedziała i za to jestem jej dożgonnie wdzięczna. Jestem jej wdzięczna za seminaria, na które uczęszczałam od końca lat 70. Były to zajęcia kultowe odbywające się co poniedziałek, zawsze o tej samej porze. Skupiały bardzo różnych ludzi: studentów uczęszczających na nie z obowiązku, asystentów Pani Profesor, innych pracowników UŁ z różnych wydziałów i wolnych słuchaczy z innych uczelni. Każdy mógł przyjść, nie było trzeba pozwolenia, nie było listy obecności. Przede wszystkim nie było żadnego „programu” do „przerobienia”, w ogóle nie istniało pojęcie programu – ustalaliśmy wiodącą problematykę seminarium i rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, czasem ktoś miał referat. Pani Profesor pożyczała nam książki, które bywały nie do zdobycia. Czasami kopiowała dla nas coś za granicą, bo u nas kopiarek przecież nie było. Kto znał jakiś język obcy, mógł czytać w tym języku i dalej to przekazywać. Nie były to usystematyzowane zajęcia, nie mieliśmy zadawanej pracy, a część osób nie potrzebowała żadnych zaliczeń; polegały na tym, że Pani Profesor była „guru” dla nas wszystkich, tworzyła atmosferę rozmowy. Dopuszczała do głosu poglądy z naukowego punktu widzenia bezsensowne lub takie, z którymi się nie zgadzała, po czym korygowała je z właściwym sobie wdziękiem: nie w sposób autorytarny, nie ucinając dyskusji, lecz rozmawiając tak, jakby to ona uczyła się od nas. Tworzyła możliwość swobodnej wymiany myśli w czasach trudnych, gdy swoboda myśli bywała karana. Stąd seminaria u Pani Profesor Pawłowskiej były tak cenne.

Z mojej obecnej perspektywy wolna dyskusja w humanistyce to jedyna formuła pozwalająca na wychowanie dorosłej i już ukształtowanej młodzieży. Mam wrażenie, że w czasach masowego kształcenia metoda taka jest już coraz mniej popularna. Stąd wspominam seminaria z Panią Profesor jako prawdziwe zajęcia akademickie, a samą Iję Lazari-Pawłowską jako profesora z minionej epoki, z dziwactwami – bo miała swoje dziwactwa – ale z autentyczną charyzmą.

Pani Profesor zapraszała uczniów do domu. Gdy przyjeżdżał szczególny gość, były to spotkania, na których zbierało się kilkanaście, czasem nawet więcej osób. Zawsze było coś do jedzenia. Współczesna młodzież tego nie pamięta, ale w latach 80. nie było łatwo zorganizować przyjęcie. Sklepy świeciły pustkami, a o czymś takim jak catering nawet nie słyszeliśmy. Zdałam sobie sprawę z tego, jaki to był

wysiłek dla Pani Profesor, gdy kiedyś przyjechał niemiecki filozof, który hospitał razem z Panią Profesor moje zajęcia. Zaproponowałam, że może ja zaproszę go do domu i zrobię risotto, bo wtedy to było moje danie: dość łatwe, ponieważ ryż i jarzyny były osiągalne. Pani Profesor była niezwykle wdzięczna; mówiła, że ją bardzo odciążyla. Teraz to rozumiem, że zrobienie przyjęcia musiało być dla niej dużym wysiłkiem. Organizowała jednak spotkania u siebie, abyśmy mogli poznać ludzi, których ceniła. Dzięki niej wiele młodych osób zyskało jakiś kontakt na tak zwanym „Zachodzie”.

Będę zawsze pamiętać Panią Profesor jako wspaniałego nauczyciela i ciepłego, życzliwego innym człowieka.

RYSZARD KLESZCZ

Ija Lazari-Pawłowska. Spotkania – rozmowy – oddziaływanie

1. Moje pierwsze spotkanie z Panią Profesor Iją Lazari-Pawłowską miało miejsce w roku 1973, w trakcie rozmowy rekrutacyjnej na studia filozoficzne. Należy bowiem pamiętać, że ówczesne studia filozoficzne na Uniwersytecie Łódzkim były tzw. studiami równoległymi, to znaczy podjąć je mogły osoby, które miały ukończone co najmniej cztery semestry innych studiów wyższych. W momencie zgłoszenia na studia filozoficzne miałem już faktycznie ukończone studia prawnicze, pozostało mi tylko przygotowanie pracy magisterskiej i zdanie egzaminu magisterskiego, co zamierzałem uczynić podczas pierwszego roku filozofii. Rekrutacja na te studia sprowadzała się do odbycia rozmowy kwalifikacyjnej. Kandydatów obowiązywało przygotowanie dwóch lektur z listy, w skład której wchodziły głównie klasyczne i współczesne teksty filozoficzne. W wykazie było także kilka tekstów klasyków marksizmu. Te ostatnie jednak, łącznie nawet z nielicznymi współczesnymi pozycjami marksistowskimi, nie dominowały na tej liście. Ja, jak to dobrze pamiętam, przeczytałem jakieś teksty A. Comte’a oraz książkę S. Kozyra-Kowalskiego *Max Weber a Karol Marks*¹. Ta druga pozycja wzbudziła moje zainteresowanie i przestudiowałem ją dokładnie, choć marksistowska krytyka stanowiska Webera, jaką przeprowadził w swej pracy Kozyr-Kowalski, zupełnie mnie nie przekonała. Co więcej, efektem tej lektury było wzmocnienie przekonania (wcześniej raczej ogólnikowego, z uwagi na dość powierzchowną znajomość Webera), że w tym sporze racja leży po stronie Webera. Być może było tak dlatego, że tak wówczas, jak i dziś, nie wykazuję żadnych skłonności ani do heglizmu, ani też do marksizmu. W każdym razie to Weber stał się przedmiotem rozmowy kwalifikacyjnej, w której reprezentantami ówczesnych nauczycieli filozofii na Uniwersytecie Łódzkim była trójka najwybitniejszych

¹ Pełny tytuł tej książki: S. Kozyr-Kowalski, *Max Weber a Karol Marks. Socjologia Maxa Webera jako „pozytywna krytyka materializmu historycznego”*, Warszawa, PWN 1967.

wówczas łódzkich profesorów filozofii. Byli to profesorowie (oficjalnie byli oni wtedy chyba docentami): Ryszard Panasiuk, Ija Lazari-Pawłowska oraz Tadeusz Pawłowski. W momencie, w którym zadeklarowałem omówienie książki o Weberze, cały „ciężar” rozmowy ze mną wzięła na siebie Profesor Pawłowska. Zaproponowała, abym przedstawił stanowisko Webera w kwestii wartościowania w nauce. Zaprezentowana przeze mnie charakterystyka tego zagadnienia doprowadziła do pytania o to, jak oceniam stanowisko Maxa Webera w tej kwestii. Moja wypowiedź, pełna rewerencji wobec Webera, była jednak krytyczna w stosunku do jego postulatu neutralności aksjologicznej uczonego. I mam wrażenie, że przypadła ona do gustu egzaminatorom, zwłaszcza zaś Profesor Pawłowskiej². Sądzę, że mogę powiedzieć, iż po tej rozmowie nabrałem sympatii do Pani Profesor.

W ten sposób zostałem studentem filozofii, czego – muszę to wyraźnie stwierdzić – nigdy potem nie żałowałem. Dwa pierwsze lata studiów obejmowały wówczas głównie przedmioty historyczne i logikę³. Etyka, jako przedmiot obowiązkowy, wykładana była przez Iję Pawłowską podczas piątego i szóstego semestru studiów. Z tego, co pamiętam, między rozmową rekrutacyjną a trzecim rokiem studiów filozoficznych nie rozmawiałem z Panią Profesor ani też nie uczestniczyłem w jej zajęciach. Pamiętam natomiast, głównie z uwagi na pewien ważny dla mnie wówczas szczegół, spotkanie studentów mojego roku filozofii z Iją Lazari-Pawłowską jeszcze przed rozpoczęciem systematycznego wykładu z etyki. Profesor mówiła o kształcie zajęć, pewnie też o ich problematyce, ale także o swoim pobycie w ówczesnej Republice Federalnej Niemiec. Kolegów interesowały realia niemieckiego życia filozoficznego i studenckiego. Ja zapamiętałem z tego spotkania głównie jeden fragment wypowiedzi Pani Profesor. Profesor Pawłowska, mówiąc o swej wizycie na jednym z uniwersytetów niemieckich, opowiedziała nam interesującą historię. Otóż w czasie wykładu o Kancie, wedle jej słów erudycyjnego i wysoce profesjonalnego, jeden ze słuchaczy zarzucił wykładowcy, że ten jest bezkrytyczny wobec myśli kantowskiej. Ten bezkrytycyzm wyrażał się, jego zdaniem, nieobecnością jakichkolwiek odwołań do *Materializmu i empiriokrytycyzmu* Lenina. I zapamiętałem słowa Pawłowskiej: „U nas takie coś nie mogłoby mieć miejsca”. I sądzę, że Profesor miała rację, bo ówczesni polscy studenci, niezależnie od ich zróżnicowania, na ogół nie odczuwali potrzeby, aby omawiane poglądy filozoficzne „wzbogacać” każdorazowo o leninowską ich krytykę. To, że te słowa zapamiętałem, nie było chyba przypadkiem, bo wówczas mówiły mi one wiele o ich autorce jako o człowieku i uczoney. Takie słowa w tamtej rzeczywistości coś znaczyły, czego pewnie wielu

² Można rzec, że powracając po latach do tej problematyki w tekście *Nauczyciel akademicki: neutralność czy aksjologiczne zaangażowanie?* oddaję poprzez to wyrazy szacunku i uznania, jakie żywię dla Pani Profesor Pawłowskiej.

³ Z tych przedmiotów historycznych i logiki wiele skorzystałem. Wspomnieć też jednak muszę proseminarium prowadzone przez profesora Tadeusza Pawłowskiego. Nosiło ono tytuł *Metodologiczne problemy humanistyki*, będąc jednak *de facto* poświęcone problematyce w dużej mierze teoriopoznawczej.

obecnych studentów nie jest w stanie w pełni zrozumieć. W każdym razie moje uznanie i szacunek dla Profesor Pawłowskiej wyraźnie się wzmocniły.

Same zajęcia kursowe z etyki zapamiętałem natomiast w sposób wysoce selektywny. Przypominam sobie ich ogólny kształt i to, że dominowała na nich problematyka metodologiczna oraz analiza współczesnych problemów moralnych. Nie brak było także wątków z zakresu socjologii moralności, natomiast warstwa historyczna pojawiała się tylko incydentalnie. To ostatnie odczuwałem zresztą wówczas jako pewien niedostatek. Taki kształt wykładu oddawał chyba dobrze profil zainteresowań Pani Profesor. Na egzamin z etyki otrzymaliśmy zestaw lektur, w którym ważną rolę odgrywały *Normy moralne* Marii Ossowskiej. Ze swojego egzaminu pamiętam jedno pytanie, na które odpowiedź zajęła mi co najmniej dwadzieścia minut. Otóż egzaminatorka zaproponowała, abym omówił normy stojące na straży życia ludzkiego. Punktem wyjścia były rozważania Marii Ossowskiej z II rozdziału *Norm moralnych*, ale pamiętam, że jako absolwent studiów prawniczych starałem się wzbogacić to analizami i przykładami nawiązującymi do kontekstu dyskusji prawniczych. Z tego egzaminu, który wspominam bardzo dobrze, pozostała też mi trwała pamiętka w postaci dedykacji Pani Profesor w jej świeżo wydanej w ramach serii „Myśli i Ludzie” monografii o Schweitzerze⁴. Skoro wspominam o egzaminie, to warto zauważyć, że Profesor Pawłowska, jak to nieraz mówiła, niezbyt lubiła egzaminować. Zwłaszcza sytuacje, w których studenci byli niedostatecznie przygotowani, były dla niej wyjątkowo przykre. Znacznie lepiej czuła się, prowadząc zajęcia typu seminaryjnego. W tego typu zajęciach uczestniczyłem kilkakrotnie, także w okresie, gdy zostałem już zatrudniony na stanowisku asystenta w Katedrze Logiki i Metodologii Nauk. Problematyka seminariów była zróżnicowana tak pod względem podejmowanych tematów, jak i form. Często były to dyskusje nad czytаныmi tekstami, poprzedzane wprowadzeniem Pawłowskiej. Czasami były to referaty prezentowane przez uczestników seminarium lub zaproszonych gości. W dyskusjach brała udział Pani Profesor, przy czym, jak to wielokrotnie podkreślała, na zasadzie jednego z uczestników. Profesor Pawłowska usilnie kładła bowiem nacisk na to, że tam, gdzie chodzi o spory aksjologiczne, a może ogólniej, światopoglądowe, profesor winien się traktować jako jeden z uczestników dyskusji, któremu przysługują takie same prawa jak pozostałym dyskutantom. Tematyka seminariów była, jak już wspomniałem, bardzo zróżnicowana. Niezbyt dokładnie, ale jednak pamiętam cykl seminaryjny na temat tolerancji oraz taki, na którym przedmiotem dyskusji były teksty Schopenhauera. To, co na tych spotkaniach uderzało, to swoboda dyskusji i zróżnicowane podejście do wielu zagadnień, które jednak w żadnej mierze nie stało na przeszkodzie utrzymywaniu dobrych stosunków między uczestnikami seminarium. Mogę bez wątpienia – po wielu latach i w perspektywie późniejszych doświadczeń – stwierdzić, że była to doskonała szkoła filozoficznej debaty. Natomiast

⁴ I. Lazari-Pawłowska, *Schweitzer*, Warszawa, Wiedza Powszechna 1976. Dedykacja opatrzona jest datą 6 stycznia 1977 r. (Święto Trzech Króli!), wtedy to bowiem zdawałem egzamin z etyki.

w kontekście ówczesnej sytuacji politycznej zajęcia dawały wrażenie swobody, rzadko spotykanej w tamtych strukturach uniwersyteckich.

2. Te spotkania z Profesor Iją Lazari-Pawłowską, wzbogacone jeszcze o rozmowy prywatne, które miałem okazję odbywać z nią lub w gronie większej liczby osób, pozwalają na sformułowanie pewnych uwag dotyczących uczonej i człowieka. Te uwagi niepozbawione są elementów subiektywności, bo patrzyłem na Panią Profesor poprzez pryzmat moich zainteresowań i żywionych przeze mnie przekonań. Po pierwsze, tym, co rzucało się w oczy w trakcie krótkiego nawet z nią kontaktu, była otwartość na rozmówcę, ciekawość jego świata wartości. Pani Profesor traktowała jako rzecz oczywistą, iż ludzie różnią się pod tym względem. Różnice na płaszczyźnie aksjologicznej były w tej sytuacji czymś normalnym. Wtedy jednak, gdy różnice, nie tyle może światopoglądowe, ile aksjologiczne, były fundamentalne, Profesor Pawłowska odczuwała to – mam w każdym razie takie wrażenie – jako pewnego rodzaju przykrość. Trudno byłoby Jej chyba znaleźć wspólną płaszczyznę z radykalnym zwolennikiem kary śmierci czy też z osobą będącą zwolennikiem stosowania tortur. Inną cechą Profesor Pawłowskiej, ważną w perspektywie prowadzonych zajęć, było przełamywanie barier i pewnych stereotypów. Sama, reprezentując pewne autonomiczne stanowisko światopoglądowe i aksjologiczne, chętnie brała udział w konferencjach organizowanych przez rozmaite, także chrześcijańskie środowiska. W roku 1976 uczestniczyła w Krakowie w sesji poświęconej św. Franciszkowi z Asyżu z racji 750 rocznicy jego śmierci. W trakcie uniwersyteckiego seminarium z etyki szeroko omawiała program tej sesji, dzieląc się z jego uczestnikami swoimi uwagami na ten temat. Postać św. Franciszka była jej niewątpliwie pod wieloma względami bliska⁵. W pewnym momencie stwierdziła, że ktoś z jej znajomych zapytał ją, dlaczego uczestniczyła w tej sesji, nie będąc katoliczką ani nawet osobą wierzącą. Charakterystyczne było stwierdzenie Pawłowskiej: „Wiecie państwo, mnie nawet taki sposób myślenia nie przyszedł do głowy”. Było dla niej trudnym do przyjęcia przekonanie, że winno się niejako uczestniczyć w takich tylko spotkaniach czy konferencjach, w przypadku których podziela się zasadnicze przekonania przyświecające organizatorom tychże. Moim zdaniem, przemawia to na rzecz postawionej przeze mnie tezy, że Profesor Pawłowska, tam, gdzie to tylko było możliwe, szukała tego, co ludzi łączy, zarazem nie negując różnic poglądów i ich znaczenia. Choć była żywo zainteresowana problemami współczesności, to z pewnością nie była człowiekiem polityki. W roku 1980, po powstaniu „Solidarności”, wstąpiła jednak do niej, jako jedyny samodzielny pracownik w łódzkim środowisku filozoficznym. Jak podkreślała, ten jej akces do związku zawodowego był efektem wyboru nie tyle politycznego, ile moralnego. Była też żywo zaangażowana po stronie studenckiej w trakcie łódzkiego strajku studenckiego w 1981 roku. Ten strajk, w którym pełniła

⁵ Wypowiedź Profesor Pawłowskiej na temat św. Franciszka zamieszczona jest w „Ateneum Kapłańskim” 1977, t. 88, s. 132-133, 147-148.

rolę eksperta, był dla niej ważnym doświadczeniem społecznym i osobistym⁶. Powtarzała, że w dyskusjach toczonych z przedstawicielami ówczesnych władz była całym sercem po stronie studentów, nie tylko z racji bycia ich ekspertem, lecz dlatego, że racje leżały po ich stronie. Zarazem jednak było dla niej ważne, aby przedstawiciele komunistycznych władz nie traktować jako wrogów, lecz mimo wszystko umieć dostrzec w nich partnerów. Rozmowy toczone z nią na ten temat wiele mówiły o jej postaci, osobowości i wrażliwości na drugiego choćby reprezentującego pod pewnymi względami obce jej stanowisko. W tym okresie można było dostrzec, że zaangażowanie Profesor Pawłowskiej w sprawy społeczne, i motywowane przede wszystkim względami moralnymi, cechuje się zarazem cnotą roztropności.

3. Te, można chyba bez przesady rzec, lata spotkań z Profesor Pawłowską, które miały miejsce w rozmaitych okolicznościach, upoważniają mnie, jak miemam, do postawienia sobie pytania o jej oddziaływanie. Było ono niewątpliwe, skoro tak wielu i tak różnych ludzi przyciągała osoba Profesor Pawłowskiej i zajęcia przez nią na Uniwersytecie Łódzkim prowadzone. Myślę, że czynnikiem gromadzącym wokół niej studentów i młodszych pracowników nauki były nie tylko racje intelektualne, lecz także niezwykła osobowość Profesor Pawłowskiej. W takiej sytuacji można i trzeba postawić też pytanie o to, jaki był i czego dotyczył jej wpływ na uczestników zajęć, czy szerzej, osób mających z nią bliższy kontakt. Takie pytanie muszę też postawić pod własnym adresem, skoro należałem do grona osób, które przez dłuższy okres i dosyć systematycznie spotykały się z nią. Wspominałem o tym, że ważną rolę pełniły czynniki osobowościowe. Tym jednak, co chciałbym w tym momencie rozważyć, jest pytanie, jakie było intelektualne oddziaływanie Pani Profesor – co najlepiej zbadać na przykładzie siebie samego. W moim przypadku nie ulega wątpliwości, że ogromny wpływ miało na mnie nastawienie metodologiczne Profesor Pawłowskiej. Dzięki jej oddziaływaniu nabrałem przekonania o wadze zagadnień metodologicznych, nie tylko w domenie etyki, lecz w obrębie filozofii w ogóle. Jestem przekonany, że filozof winien troszczyć się o dwie rzeczy: jasność w myśleniu i mówieniu oraz dobór stosownych dla wygłaszanych przezeń tez argumentów. To zaś, że taki nacisk skłonny jestem kłaść na te aspekty w pracy filozofa, to w jakiejś mierze wynik intelektualnych skłonności, lecz w wyższym jeszcze stopniu oddziaływania nauczycieli, w tym głównie chyba Profesor Pawłowskiej⁷. W znacznym stopniu bliskie było i jest dla mnie aksjologiczne nastawienie Profesor Pawłowskiej, jej optyka, ogólnie rzecz ujmując, personalistyczna. Tutaj jednak, jak sądzę, problem ten wymagałby szczegółowej analizy. Myślę bowiem, że nasze dyskusje, gdybym mógł je obecnie

⁶ Wypowiedzi Profesor Pawłowskiej na temat strajku znaleźć można w tekście *Postrajkowy tryptyk*, „Kontrasty” 1981, nr 7, s. 21-22.

⁷ To nastawienie zawdzięczam też, o czym wspominałem, uczestnictwu w zajęciach oraz lekturze prac profesora Tadeusza Pawłowskiego. Nie bez znaczenia były też spotkania z wybitnymi ludźmi na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Z tego grona wymienię tylko dwóch profesorów: Józefa Nowackiego i Jerzego Wróblewskiego.

z Panią Profesor prowadzić, dotyczące choćby problemu tolerancji czy filozofii karanias i kary śmierci, ujawniłyby oprócz znacznego obszaru zgody także terytoria nas nieco różniące. Największe chyba rozbieżności wystąpiłyby jednak w domenie metafizologii. Profesor Pawłowska nie zajmowała się tą problematyką *explicite*, lecz niewątpliwie pewne jej poglądy w tym zakresie można wydobyć. W jej podejściu widać wyraźny wpływ empiryzmu logicznego (neopozytywizmu). Zawdzięczała to oddziaływaniu swoich mistrzów, przede wszystkim Janiny Kotarbińskiej i Marii Ossowskiej. W przypadku obydwu, w wym najgłębszym przekonaniu wybitnych uczonych, można mówić o ich minimalistycznym i antymetafizycznym nastawieniu. Wystarczy przyrzeć się choćby tylko temu, w jakich kontekstach używane są przez Ossowską w *Podstawach nauki o moralności* słowa „metafizyka” i „metafizyczny”. Moje rozumienie filozofii i jej zadań takiego zawężania granic nie akceptuje. Stąd też zapewne w oczach Kotarbińskiej i Ossowskiej mogłoby ono uchodzić za metafizyczne. Warto jednak pamiętać, że w przypadku Profesor Pawłowskiej to neopozytywistyczne nastawienie występuje w wersji osłabionej, jako jak gdyby pewne *residuum*. Co prawda wtedy, gdy dyskutuje ona zagadnienia moralne na płaszczyźnie teoretycznej, to widać jej orientację empiryczną i pokrewną temu, co standardowo mówili na tematy aksjologiczne myśliciele bliscy neopozytywizmowi. Pawłowska uważała jednak zarazem, że wtedy, gdy chcemy na przykład uzasadnić godność człowieka, koncepcje motywujące tę godność, a oparte na metafizycznych założeniach, są najspójniejsze, odwoływanie się zaś do samych cech empirycznych nie jest satysfakcjonujące. Ponadto, jak łatwo zauważyć, autorzy, którym poświęcała sporo uwagi (Gandhi, Schweitzer) za filozoficznych minimalistów nie mogą uchodzić. Pamiętam też, że w pewnych swobodniejszych kontekstach dyskusyjnych Pawłowska, deklarując swój religijny agnostycyzm, nie bała się zarazem używać takich terminów, jak przeżycie metafizyczne czy tajemnica. Nie pozwala to, w żadnej mierze, na przypisywanie jej poglądów, których nie reprezentowała, mówi zarazem jednak niemało o pewnej sferze przeżyć, która lokowana była, pewnie w intencji samej Pawłowskiej, poza sferą naukowej refleksji.

Dokonując podsumowania, muszę stwierdzić, że to, co zawdzięczam spotkaniom z Panią Profesor Pawłowską, jest w pewnej mierze ważniejsze niż sama lektura Jej prac. Taki bezpośredni kontakt wywiera, zwłaszcza w przypadku młodego człowieka, większy wpływ niż pośrednie spotkania z dziełami. Mówiłem o oddziaływaniu uczonej na moje metodologiczne, filozoficzne i intelektualne nastawienia. Z tego punktu widzenia Profesor Iję Lazari-Pawłowską uznać muszę za jednego z dwu lub trzech najważniejszych nauczycieli w moim życiu. Życiu rozpatrywanym w perspektywie, która obejmuje okres od szkoły podstawowej do studiów uniwersyteckich włącznie.

MAREK ZIRK-SADOWSKI

Profesor Ija Lazari-Pawłowska – wspomnienie

Mam same dobre wspomnienia związane z Panią Profesor. Spotkało mnie dzięki Niej wiele dobrych rzeczy, a wśród nich – co najważniejsze – wiele dobrych spotkań. Najbardziej ceniłem w Niej niewiarygodną zdolność gromadzenia wokół siebie ludzi i dawanie im szansy na spotkanie. Była to dla mnie jedna z Jej najpiękniejszych cech.

Kiedy czytałem listę uczestników dzisiejszego spotkania, którą dostałem przez Internet, to pomyślałem, że Pani Profesor w dużej części jakoś ją ułożyła, stworzyła wokół siebie zbiór ludzi oryginalnych i nietuzinkowych. Wszyscy wyraźnie „uniwersyteccy”, ale nie z typową „profesorskością” i skłonnością do konceptualizacji wszystkiego. Myślę, że przynajmniej w pewnym okresie takie „gromadzenie ludzi” było misją, którą profesor Lazari w sobie odczuwała.

Poznałem Ją w roku 1972. Chodziłem na wykład z etyki, ale muszę powiedzieć, że nie byłem nim zachwycony, a to dlatego, że przyszedłem tam jako prawnik szukający wiedzy filozoficznej, przesycony wykładami na przykład profesora Wróblewskiego i myśleniem w jakimś metajęzyku, zwanym przez niektórych teorią. Wykład z etyki to było pierwsze zderzenie z zupełnie innym podejściem i dopiero później, kiedy przychodziłem na seminaria i kiedy spotkałem Panią Profesor już zupełnie prywatnie, dopiero wtedy wszystko „zeszło się w całość”. Początkowo, z perspektywy wykładu kursowego, to mi nie odpowiadało, ale przez osobiste kontakty rozumiałem, że dąży do tego, aby połączyć życie codzienne i refleksję etyczną. Zaznaczam, że wykłady były bardzo interesujące, ale więcej o Jej poglądach dowiedziałem się z naszych rozmów. Mieliśmy okazję do wielu rozmów, bo nawet podróżowaliśmy razem.

Uważam, że profesor Lazari miała trzy okresy w swojej twórczości. Po pierwsze, okres lwowsko-warszawski – wtedy, kiedy była pod urokiem Kotarbińskich. Wielki wpływ osobisty, zawsze mówiła, miał na Nią prof. Kotarbiński, jego poglądy, ale też osobowość. Słuchając wykładów o tolerancji, zauważyłem sporo odniesień do prof. Kotarbińskiego. Miałem też wrażenie, że zawsze była pod wpływem Bubera, to była postać personalizmu, która najbardziej Jej odpowiadała. Drugi okres to był czas, który nazywam „aśramowym”. Nastąpił, kiedy prof. Pawłowska pojechała do Indii. Była to wówczas niewiarygodna rzadkość i uznawaliśmy Ją za wielką podróżniczkę.

Przy okazji tych wyjazdów służbowych, które bardzo ceniła, jak zresztą całe ówczesne pokolenie akademickie, była głodna spotkań z ludźmi. Moim zdaniem był to człowiek w kontaktach osobistych niewiarygodnie energetyczny, trzeba tu wspomnieć o Jej zaangażowaniu, o prowadzeniu korespondencji. Miała potworną energię do spotkań z ludźmi, to było coś, co mnie zawsze zdumiewało. Może dlatego uważała, że należy być tak bardzo tolerancyjnym dla ludzi. To jest sprawa, która

mnie też zadziwiała, wspieranie tolerancją chęci kontaktów z ludźmi, możliwość obdarzania ich swoją energią.

Muszę powiedzieć, że w naszej przyjaźni – bo chyba tak mogę nazwać nasze kontakty, które zaczęły się w 1972 roku – okres „aśramowy”, szczerze mówiąc, nie za bardzo mnie zainteresował, jego zagadnieniom były poświęcone wykłady, o których już wspominałem. Z mojego punktu widzenia znakomity był trzeci okres, który nazywam „schweitzerowskim”. Oferta areligijnej koncepcji wszechrzeczy i czci dla życia była bardzo interesująca i jej poznanie wprowadziło mnie do świata schweitzerowców. Pojechałem kiedyś z Panią Profesor na ich spotkanie, na które Ona regularnie jeździła. Nazywały się one *Johannes Treffen* i odbywały niedaleko alzackiego Colmar, w miejscowości Gunsbach, gdzie mieści się rodzinny dom Schweitzera. W czasie tego spotkania poznałem całe środowisko schweitzerowców i było to bardzo interesujące przeżycie. Po powrocie kontynuowałem z nimi kontakty, zresztą Pani Profesor była do końca życia bardzo silnie związana z tym ruchem, bo potem w latach osiemdziesiątych włączyła go do swojej wielkiej pracy charytatywnej, którą prowadziła w stanie wojennym. Wielu z nas dzięki Jej staraniom otrzymywało w tym czasie paczki z pomocą. Pamiętam taką paczkę od rodziny niemieckiej, której w rewanżu wysłałem kolekcję płyt Szymanowskiego. Oni mi odpisali, że bardzo kochają muzykę, ale ta jest dla nich bardzo trudna.

Już po stanie wojennym Pani Profesor nadal prowadziła działalność wspierającą różnych ludzi i sporo tych działań było prowadzonych pod egidą ruchu schweitzerowskiego. Były to zawsze z Jej strony działania oparte na spotkaniu osobistym z jakąś osobą. Stroniła od działań bezosobowych. Pamiętam pewną panią ze Świnoujścia, która miała strasznie chore i niepełnosprawne dziecko i cała ta grupa schweitzerowska załatwiała dla tego dziecka bardzo drogą operację, ale te działania były spontaniczne.

W naszych rozmowach, do których było wiele okazji, była bardzo szczerą i otwartą. Często głosiła o sobie opinie, które kompletnie mnie zaskakiwały, które ludzie o sobie rzadko wypowiadają wobec innych. Na przykład podkreślała, że Jej wielkim problemem jest to, że nie jest dobra, że stara się o to jakoś walczyć. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to mile zaskoczyło, bo ja to samo myślałem o sobie, a jednak Jej działania wspierające innych, Jej wielowymiarowość osobowości i zdolność do empatii dawały pocieszenie, że skoro nawet tacy są „niedobrzy”, to nie jest z tymi „złymi” tak źle.

Oczywiście, Pani Profesor raczej chciała powiedzieć, że nie jest odruchowo dobra, że musi nad sobą pracować, czuwać, wydobywać z siebie dobro. Pamiętam, że byłem tym bardzo zaszokowany, ale było to dla mnie bardzo ładne, że wyżej ceni spontaniczną dobroć, rodzaj świętości. Miała wobec siebie pewne zarzuty, ale myślę, że odnoszące się do przeszłości, z takiego okresu zwykłego dojrzewania moralnego, który wszyscy przeżywamy. Ale w tych krytycznych ocenach przejawiała się też autentyczna skromność.

Politycznie była bardzo ostrożna, bo uważała, że zdarzały się Jej bardzo niebezpieczne rzeczy. Mówiła mi o przesłuchaniach w 1968 roku, które Ją bardzo dużo kosztowały.

Miałem często takie wrażenie, że wiele rzeczy, które później robiła, było jakoś związanych ze stopniowym „uczeniem się” dobra, niepoddawaniem się nienawiści nawet w skrajnych sytuacjach. Bardzo mi to imponowało.

Była osobą całe życie zmagającą się ze swoimi właściwościami. Nie ukrywała tego, że ma różne wady i bardzo mi się to wydawało piękne. Poza tym wielce ceniła sobie przyjaźń, była to dla Niej bardzo ważna wartość. Bolała nad tym, jeśli ktoś Ją odrzucał, to się czuło. Tłumaczyła mi przyjaźń zawsze przez Kotarbińskiego, mówiła, że nie jest to kwestia liczby spotkań, tylko pewnego zadzierzgnięcia, pewnej więzi osobowej, która była dla niej istotna. Ważne było szukanie czegoś wspólnego, spotkanie kogoś, kto ma coś wspólnego z Nią.

W koncepcji czynienia dobra była zwolennikiem raczej etyki sytuacyjnej, nie była moralizatorem w poważnym tego słowa znaczeniu, chociaż pewne wartości opracowywała po to, żeby zastanowić się nad aplikowaniem norm w sytuacjach krańcowych.

Tak przypomina mi się obraz osoby, ale wspominam często, znane wszystkim, spotkania towarzyskie, które przygotowywała w swoim domu. W tamtych czasach to było coś niezwykłego, że profesor i jego rodzina zapraszają prywatnie studentów, asystentów, że dyskutują z nimi. Odczuwaliśmy to nawet jako pewien akt odwagi.

W czasie tych spotkań poznałem wielu ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem. Pani Profesor nie oddzielała od tych spotkań swojej prywatności i życia rodzinnego. Owo gromadzenie ludzi było między innymi dlatego tak miłe, że całe Jej mieszkanie było do naszej dyspozycji. Rozmowy miały również walor towarzyski. W tym wymiarze Pani Profesor też potrafiła zaskoczyć swoimi przemyśleniami. Na przykład nie była zwolenniczką skrajnej szczerości w małżeństwie, naruszającej prywatność współmałżonka. Powtarzała za Schweitzerem, że dusza ma prawo do swojego wstydu czy raczej swojej wstydlivości. Bardzo mi się to spodobało.

Jej skłonność do ludzi rodziła wiele kontaktów. Znała ludzi niewiarygodnych, na przykład profesora Hansa Alberta. Dostawała wiele książek od osób, które poznawała. Mieliśmy do nich dostęp i my. W tamtych czasach to też było rzadkie. Wielu profesorów miało wielkie ukryte biblioteki zagranicznych książek, one były źródłem swoistej przewagi naukowej. Dziwiliśmy się, skąd tyle w ich pracach cytatów z zachodnich książek. Pani Profesor takiej przewagi nie wykorzystywała, dzieliła się zawsze tym, co miała.

W swej dobroci i otwartości była też praktyczna. Nie była zaślepioną idealistką. Pomagała ludziom, ale lubiła, gdy ta pomoc miała jakiś praktyczny wymiar, realny sens dla tych, którym pomagała. Sama była też bardzo praktyczna, zauważyłem, że

była na przykład w mądry sposób oszczędna. Widzę Ją jako osobę dobrą, ale bardzo konkretną. Nie mam skłonności do jakiegos rodzaju Jej beatyfikacji.

Chciałbym natomiast wspomnieć okres Jej umierania, bo to jest rzeczywiście czasami egzamin końcowy. Jeżeli się uważa, że umieranie jest częścią naszego życia i rozwoju, to jest ono ważnym momentem, szczególnie jeśli się umiera na ciężką i długą chorobę, i cierpi się. Znam kilka osób, które podziwiam, które są dla mnie wzorami w tym wymiarze, choć mam nadzieję, że sam nie będę takiej próbie poddawany. Właśnie Pani Profesor zaimponowała mi swoją siłą duchową w tym czasie. Dzwoniła do mnie wielokrotnie, kiedy umierała w oddziale-hospicjum Szpitala Kopernika. Dzwoniła do mnie, bo tam był telefon i słyszałem jej straszną walkę o każdy oddech. W zasadzie w ogóle nie mówiła o sobie, cały czas prosiła mnie o pomoc dla jej najbliższych, ponieważ umierała w koszarnej sytuacji życiowej. Ta osoba praktyczna, która wszystkim chciała pomagać, nagle zobaczyła, że Jej najbliżsi są w ciężkiej sytuacji, że mogą sobie nie dać rady, a Ona nie może im pomóc. Bardzo przez to cierpiała. Potem nie miałem już okazji do rozmowy, bo wyjechałem na jakieś krótkie stypendium i po powrocie dowiedziałem się, że zmarła. Na szczęście mogłem uczestniczyć w Jej pogrzebie.

W moim wspomnieniu pozostała bardzo koherentna, to znaczy te cechy z wykładu, z seminarium i również Jej sposób przeżywania kontaktów z ludźmi i swojego własnego życia - na koniec tworzyły w Niej całość.

Bardzo sobie cenię spotkanie na mojej drodze życiowej Profesor Lazari, bo niezależnie od spotkania z Jej wielką wiedzą, miało ono na mnie duży wpływ właśnie w wymiarze codziennego poszukiwania dobra jako przede wszystkim działania praktycznego.

M A R E K C Z Y Ż E W S K I

Instytut Socjologii, Uniwersytet Łódzki

Z Panią Profesor zetknąłem się w wieku 5 lat. Kontakt nasz był dosyć intensywny wtedy, gdy byłem w liceum i na pierwszych latach studiów. Muszę tu dodać, że z biegiem lat coraz bardziej podziwiam Ją za to, że poświęcała tak dużo czasu na rozmowy z kimś takim jak ja, a wiem, że na podobne rozmowy zapraszała także wiele innych młodych osób. Nigdy nie dała mi odczuć oczywistego intelektualnego dystansu, jaki nas dzielił, traktując poważnie moje adolescentne wywody. Nie sygnalizowała też w żaden sposób, że traci czas, który mogłaby przeznaczyć na inne, ważniejsze zajęcia, których jej przecież nie brakowało. W obliczu dzisiejszych uwarunkowań życia uniwersyteckiego ten wzór postępowania wydaje mi się wręcz niewyobrażalny. W latach późniejszych z kolei nasz kontakt był już słabszy, z pewnością z uwagi na moje nowe miejsce zamieszkania (przedtem byliśmy sąsiadami), ale zapewne też

z tego powodu, że w wtedy poszedłem nieco inną drogą. Tak więc w młodzięcym okresie, kiedy dorastałem, moje doświadczenia z kontaktów z Profesor Pawłowską były intensywne. Podzieliłbym je na trzy obszary: po pierwsze – życie, „jak żyć?”, bo to był też czas, kiedy się takie pytania zadaje; druga sprawa – polityka, kontekst polityczny, presje polityczne; i kwestia trzecia – koncepcje etyczne i Jej poglądy jako naukowca, a jednocześnie moralisty.

W pierwszym obszarze Profesor Pawłowska starała się wybierać drogę umiaru. Oczywiście wtedy nie miałem pojęcia o tym, jak dzisiaj próbowałbym tę postawę nazwać. W tamtych latach nie znałem ani kategorii, którymi zamierzam się za chwilę posłużyć, ani tekstów Pani Profesor o tolerancji, które wówczas nie były jeszcze opublikowane. Z dzisiejszej perspektywy ośmieliłbym się powiedzieć, że stanowisko Profesor Pawłowskiej pozostaje w dystansie do dwóch biegunów. Jeden z nich nazwałbym zdroworoządkową, a w konsekwencji nierzadko drobnomieszcząską umiejętnością życia, jakimś pogrobowcem *fronesis*, która, jak mi się wydaje, bardzo Ją odpychała. Z drugiej strony przypuszczam, że to, co teraz znane jest jako „mówienie prawdy”, foucaultowska czy postfoucaultowska *parezja*, też byłoby dla Niej czymś zupełnie nie do przyjęcia. Zatem chodziło raczej o to, co, jak później zrozumiałem, należy do trzeciego typu tolerancji w ujęciu Profesor Pawłowskiej: łagodnej perswazji. O ile pamiętam, Pani Profesor potrafiła powiedzieć „nie” w niektórych szczególnie istotnych dla niej kwestiach, ale także wtedy starała się, żeby Jej stanowisko było uargumentowane. Natomiast w sytuacjach w mniejszym stopniu kontrowersyjnych z chęcią wdawała się w długie dyskusje. W każdym przypadku dbała o to, by druga strona nie odczuwała przymusu zmiany stanowiska, lecz by postrzegala siebie jako osobę znajdującą się w sytuacji wolnego wyboru.

W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję – obraz, który przypomina mi się niczym scena filmowa. Zdarzyło się to w jej mieszkaniu w trakcie jednego ze spotkań, w których miałem zaszczyt jako chłopię uczestniczyć. Pojawiały się tam różne osoby, jacyś młodzi poeci, jacyś studenci; nie bardzo wiedziałem, kto to jest. Czasami jeden z młodych uczestników wygłaszał referat, potem była dyskusja. Wtedy był czas silnej recepcji psychologii humanistycznej, idei autentyczności, terapii *Gestalt*. Wydaje mi się, że to były te czasy, mniej więcej pierwsza połowa lat siedemdziesiątych minionego wieku. Jedna z młodych osób, dziewczyna, mówiła o tym, że jak komuś coś leży na sercu, to trzeba to wygarnąć, bo człowiek jest wtedy zdrowszy, a i prawda w tym jakaś jest, bo się zamyka „postać”, *Gestalt* się zamyka, i tak dalej. I wtedy padło zdanie, które utkwiło mi w pamięci. Otóż Profesor Pawłowska powiedziała, że ona to już by wołała mieć wrzód żołądka. To tyle, jeśli chodzi o pierwszy obszar, to znaczy „jak żyć?”, jak pogodzić różne wymogi.

Druga kwestia, dotycząca nacisków politycznych, wydaje się teraz, zwłaszcza dla dzisiejszych młodych osób, kompletnie niezrozumiała. A jednak dla tych, którzy wówczas mieli możliwość percepcji rzeczywistości, sposób postępowania Profesor Pawłowskiej był czymś niebywałym. Sytuacja była trudna: z jednej strony potworny

nacisk polityczno-partyjny, cała góra etyków polskich była w gruncie rzeczy politycznymi funkcjonariuszami; z drugiej strony silna społeczna presja Kościoła, z którym Ona była wtedy na bakier (co się potem przecież zmieniło). Pośrodku zaś znajdowała się postać Profesor Pawłowskiej, a także coś, czemu Ona z dnia na dzień dawała świadectwo, to znaczy etos niezależnego myślenia inteligenckiego oraz etos neutralności naukowej. Ten typ odnajdywania drogi naukowej w niesprzyjających okolicznościach wiązał się bez wątpienia z Jej zapleczem intelektualnym: Kotarbińskim, Hansem Albertem i tak dalej. Bardzo spójnie, moim zdaniem, komponowało się to właśnie zaplecze intelektualne z podejmowanymi przez Nią w realnym życiu wyborami. Jak wiadomo, Pani Profesor nie szła na barykady, była bardzo ostrożna, wręcz powściągliwa; ale z drugiej strony Jej pogarda wobec oportunistów była ewidentna.

Trzecia kwestia dotyczy etyki, a tym samym dokonań naukowych Profesor Pawłowskiej i jej poglądów w tej dziedzinie. Ograniczę się do jednego aspektu tej złożonej problematyki. Nie wiem, czy się Państwo z tym zgodzą czy nie. Mam na myśli zwłaszcza te osoby spośród Państwa, które profesjonalnie się tą dziedziną zajmują. Otóż przynajmniej z mojego, dosyć wąskiego kąta widzenia, obserwowałem zasadniczą przemianę światopoglądową, a mianowicie od świata Hansa Alberta, Kotarbińskiego, przez różne inspiracje (bo z jednej strony Buber i filozofia dialogu, z drugiej strony Indie, hinduizm) do, można powiedzieć, fascynacji metafizyczną religijnością. Był to, jak mi się w dzisiejszej, skróconej retrospekcji wydaje, zasadniczy przełom w Jej własnych światopoglądowych przekonaniach, a nawet światopoglądowych wyborach. Ale przebycie krok po kroku tej długiej drogi było, jak sądzę, możliwe dzięki otwartości, którą Ona w wielu dziedzinach, jak wiadomo, posiadała.

Profesor Pawłowska nie zdążyła – z powodu przedwczesnej śmierci – rozwinąć i dokończyć swoich rozważań na temat tolerancji. Wydaje mi się, że sama miała poczucie żalu (tak odebrałem jedno z ostatnich przelotnych spotkań), że nie zdąży napisać książki o tolerancji. Daleka droga, którą przebyła od stanowiska pozytywistycznego do stanowiska w gruncie rzeczy egzystencjalno-metafizycznego nie została, jak sądzę, w ogóle skonsumowana w Jej publikacjach, zwłaszcza na temat tolerancji. Możemy się tylko domyślać, jak mógłby wyglądać dalszy rozwój Jej koncepcji. Być może nie nastąpiłyby zmiany tak zasadnicze, jak te, do których mogłoby prowadzić np. sięgnięcie do idei Lévinasa. Sądzę, że w tę stronę Profesor Pawłowska nie była gotowa pójść. Przypuszczam, że książka, która nie powstała, byłaby raczej dopełnieniem i uzupełnieniem Jej koncepcji tolerancji, prezentowanym na tle wielowątkowej dyskusji z innymi wyobrażeniami na ten temat. Być może także pewną radykalizacją, ale chyba nieidącą nazbyt daleko w odniesieniu do punktu wyjścia. Tego jednak nie wiemy.

WOJCIECH ROBACZYŃSKI

Leży przede mną odbitka artykułu Pani Profesor Iji Lazari-Pawłowskiej z „Więzi” z 1976 r., z dedykacją napisaną ręką autorki i dołączoną pocztówką przedstawiającą Alberta Schweitzera w jego wsi, na tle Wogezów. Przychodzą na myśl wspomnienia z uczestnictwa w seminarium magisterskim skupiającym wiele osób – zarówno studentów filozofii, jak i inne osoby żądne wymiany idei, dyskusji o tym, co dobre i co złe. Przychodzą teraz takie luźne myśli, przesuwające się obrazy, dziś już dość odległe wspomnienia. Dobrze, że mogą być utrwalone.

O takich jak ona ludziach trudno mówić i pisać bez przesadnej egzaltacji, słowa – nawet zwyczajne – stają się w obliczu wspomnieniowej okazji zbyt uroczyste, napuszone. A przecież jedną z najbardziej uderzających cech bohaterki tego wspomnienia była szczerza, nie na pokaz, skromność. Byłoby oczywiście nadużyciem powiedzieć, że należałem do kręgu bliskich znajomych Pani Profesor. Byłem studentem, potem absolwentem, asystentem, ale na innym wydziale – różnica pokoleń i pozycji akademickiej była bardzo duża. Prawdą jest natomiast, że Ija Lazari-Pawłowska odnosiła się do nas – do mnie i do mojej żony, Agnieszki Liszewskiej, która też uczestniczyła w tych seminariach, choć nie studiowała filozofii – z wielką serdecznością. Brak dystansu, niezależnie od osoby rozmówcy, był ze strony Profesor Lazari-Pawłowskiej cechą uderzającą. To raczej my, chcąc nie chcąc, sami sobie stwarzaliśmy ten dystans, który pojawia się w obliczu prawdziwego autorytetu.

Na seminarium każdy mógł przyjść, choćby całkiem „z zewnątrz”, każdy mógł się wypowiedzieć. Najpierw wprowadzające wystąpienie, nawet nie referat, ale raczej prezentacja, potem dyskusja. Typowy schemat akademicki. Ale żywy, nieudekorowany. Tematy ważne, podstawowe. Dyskusje długie, ale bez straty czasu.

W ocenach ludzi i ich zachowań, w ocenach zjawisk, Ija Lazari-Pawłowska była realistką. Żadnego „bujania w chmurach”. Pamiętam, jak zaskakujący dla nas – w kontekście jej fascynacji myślą i dziełem Gandhiego i Nehru – był stosunek Pani Profesor do indyjskiej rzeczywistości. Sama przed sobą dziwiła się, że kultura, która wydała mędrców, skazuje miliony na poniżającą, głodową śmierć na ulicach miast. Wyraźnie solidaryzowała się z poglądami Nehru, który oceniał rodaków bardzo surowo (Pani Profesor przytacza w książce o Nehru taki fragment jego wypowiedzi, że „są ludzie gotowi poderżnąć drugiemu gardło, potem zaś nakarmią mrówki cukrem i przywrócą sobie w ten sposób poczucie rytualnej czystości”, s. 48). Ale Ija Lazari-Pawłowska nie była wojownikiem, konstatowała zaobserwowane przez siebie fakty ze smutkiem, może z bólem nawet, ale chyba jednak z rezygnacją.

Jako dyskusjantka była bardzo cierpliwa, słuchająca, niezbyt ekspresyjna w wyrażaniu odmiennych opinii. Tolerancyjna w najlepszy sposób z tych sposobów, o jakich pisała. Jako promotorka pracy magisterskiej też była wyrozumiała dla autora, ale w tym przypadku nie wahała się wytknąć niedostatków tekstu. Czuło się jednak jej nieufność do sztywnych, wymaganych względami formalnymi, sposobów wyrażania myśli w rozprawach.

Najlepiej, najpoważniej, najdłużej rozmawiało się, siedząc na podniszczonych fotelikach w małym pokoju, w skromnym, socjalistycznym blaszanym baraku będącym wówczas siedzibą katedr filozoficznych UŁ. Ale czasem także w przypadkowych miejscach, choćby na ulicy, gdzieś niedaleko uniwersytetu. Pewnego razu w tramwaju podzieliła się z nami radością z wiadomości o podróży do Ameryki w związku z nagrodą Fundacji Jurzykowskiego. Bardzo się cieszyła, i z tej nagrody, ale chyba przede wszystkim z tej podróży. Innym razem – spotkana na ulicy – opowiadała o właśnie odbytej rozmowie z Leszkiem Kołakowskim na dworcu Łódź Fabryczna. Kołakowski miał mało czasu i zaraz musiał wracać, więc siedzieli w barze „Warsu”, nie opuszczając stacji. Pamiętam pytanie, które zadała Filozofowi na koniec rozmowy: „i co ty zrobisz, jak okaże się, że twojego Boga nie ma?”

Czasem też były spacery od siedziby Filozofii obok Biblioteki Uniwersyteckiej przy Matejki do ich – jej i prof. Tadeusza Pawłowskiego – mieszkania przy Wierzbowej. Nieraz wtedy wspominała, jak z mężem chodzili na dworzec żegnać wyjeżdżających po Marcu.

W myśli Iji Lazari-Pawłowskiej – zarówno tej ulotnej, choć pamiętanej, jak i w tej utrwalonej na piśmie – charakterystyczny jest szczególny stosunek do Schweitzera. Opis pobytu w domu w Gunsbach – niby zwyczajny – jest opisem pobytu raczej w świecie idei niż w jakimś konkretnym miejscu, mimo że autorka nawet nieraz sama oprowadzała zwiedzających. Życie Schweitzera opisywane jej ręką wypełnione jest szczęściem zmieszonym z dramatyzmem. Tu znów przejaw jej trzeźwości i braku egzaltacji. Nie wiadomo, czy Schweitzer był szczęśliwy. W każdej chwili zdawał on sobie sprawę – tak jak ona – że zapłata za dobro nie zawsze jest dobro. Drobne na pozór sprawy. Nawet to, że czasem w Lambarene zdarzają się kradzieże, że trudno zachęcić rodziny chorych do wspólnej pracy. Kiedy Ija Lazari-Pawłowska powtarza za Schweitzerem, że każdy ma swoje Lambarene, nie brzmi to raczej radośnie. Brzmi trochę gorzko i raczej jako wyobrażenie rozmiarów życiowego zadania. Jest subtelna i wyczuwa niuanse, choć zawsze jej styl jest rzeczowy, bez tklivości, np. gdy wspomina, że Doktorowi los nie oszczędził nawet konieczności zabicia ulubionych zwierząt ze względu na epidemię wścieklizny. W tym miejscu zauważmy, że autorka w refleksji moralnej dostrzega także zwierzęta (na przykład we wspomnianej książce o Nehru przytacza jego krytyczne obserwacje dotyczące losu zwierząt w Indiach; w książce o Schweitzerze podkreśla, że bliźnim dla niego był „nie tylko każdy człowiek, lecz w ogóle każda istota obdarzona życiem”, s. 49).

Prace Iji Lazari-Pawłowskiej są naukowe i akademickie, ale jednocześnie są „do czytania”. Są po prostu interesujące, a ponadto czas ich nie rusza. Zawsze warto wracać do opracowań „indyjskich” – o Gandhim i Nehru, choć ja najbardziej lubię czytać „afrykańskie” – o Schweitzerze. Dla osoby, której dorosła młodość przypadła na okres czerwcowego przełomu, ważny zawsze pozostaje tekst na temat etycznej strony obywatelskiego sprzeciwu z „Etyki” z 1990 r.

No i prace o tolerancji. O tym trzeba zawsze pisać i zawsze czytać.

